

# Odrobina słodocyzy na chorą duszę

„Babciu, ty masz fajnie, bo już niedługo pójdziesz do nieba, a ja jeszcze tyle muszę czekać” - powiedział Irenie Olejnik wnuczek. Ale póki co, pani Irena do nieba wcale się nie wybiera. Prędej już do cukierni, jak za dawnych lat.

Pierwsze życie Ireny było słodkie. Figurki z marcepana, kolorowe torty i torciki albo te piętrowe, zdobione figurkami z masy cukrowej, pysznymi kokardeczkami, różyczkami, dalej: serniki, tiramisu, drożdżoweczki, pączusie, jabłeczniki, biszkopeciki, ciasteczka z masą śmietanową albo owocową, albo te wykwentne, bankietowe, babeczki we wzoreczki, czekoladowe albo zdobione owocami w żelu albo jeszcze inaczej - całą kompozycją owoców, kwiatuskami z jabłek, pawimi oczkami, a jeszcze koszyczki jabłkowe, ciasteczka karmelowe, te francuskie z wiśnią, puchate bułeczki, te najprostsze i najpyszniejsze... Cudowne było to słodkie życie.

- Byłam cukiernikiem, a cukiernik jest jak lekarz - mówi Irena. - W białym kitlu dawałam radosne życie ludziom, piekąc pachnący chleb, bułeczki... Dawaliśmy ludziom „chleba naszego powszedniego” i osłodziłam życie, które nie zawsze przecież słodkie jest. Byłam, można powiedzieć, lekarzem duszy. A każdy lekarz duszy musi wiedzieć, że na chorą duszę najlepsza jest odrobina słodocyzy.



## Cud-cukiernia

Słynna była wzorach cukiernia „Irenka”. Ludzie przyjeżdżali tu po ciasta aż z Gliwic, potrafili pokonać 50 km, by kupić kawałek sernika, a może właśnie uleczyć duszę, kto wie?

- Ludzie uwielbiali nasze serniki i szarlotki, ale najstojniejsze było tiramisu - opowiada Irena. - A torty, jak nic innego, wносиły do domów radość. Potrafiła wyczuć, komu jakie ciasto mogłoby smakować najbardziej. A w jej cukierni zawsze można było - zanim się człowiek zdecydował - posmakować specjałów. Zwłaszcza że trudno było wybrać, na co ma się akurat ochotę, a wybierać było z czego, oj było... Ponad 80 rodzajów słodkości! Samych serników - sześć gatunków! - Uwielbiałam robić torty! - wzdycha Irena. - Och, jak ją kochałam przekładać słodką masą warstwy, a później zdobić je słodkimi figurkami i kwiatuskami. Te marcepanowe figurki... Tak mi żal, że to wszystko już za mną, że tamto życie się skończyło. Ale najbardziej cierpliwym trzeba być przy wyrobieniu chleba. Trzeba być delikatnym i silnym jednocześnie. Spokojnym i równocześnie zdecydowanym. Ostrożnym, ale i energicznym. A przy wyrabianiu ciast trzeba być nie tylko jak lekarz. Cukiernik to przede wszystkim artysta.

Rzeźbiarz, malarz i magik w jednym.

- Dużo miłości należy włożyć w tę pracę - twierdzi Irena. - Tak tłumaczył mi mąż, mój mistrz. On nauczył mnie wszystkiego. Mówił: „Jak chcesz być dobrym cukiernikiem, musisz nauczyć się odczuwać tę pracę, słowa nie są tak ważne, liczy się serce”. To jest prawdziwa magia. Bo jakim cudem tak szczypta kobiety jak ja mogła zagnieść ciasto na pączki z 50 kg mąki? No jak? To dopiero trzeba mieć dryg! Żeby je dokładnie wymieszać, wyrobić, tak, by nabrało powietrza. Nasze babki mawiały, że musi być puszyste jak poducha. Albo „każdy pączek musi mieć obrączek”, że wtedy dobry, gdy ma otoczkę dookoła.

## Słodkie-gorzkie

Zatrudnione przez Irenę ekspedientki wiedziały, że kto do cukierni wejdzie, nie może wyjść bez niczego.

- Mieliśmy dziesiątki receptur - mówi Irena. - Tych wypróbowanych, ze sztambuchów naszych mam i babek, ale też eksperymentowaliśmy, tworząc nowe przepisy. Nasze ciasta umilały rodzinne imprezy dziesiątek rodzin, torty weseliły na weselach, urodzinach, chrzcinach. To były wypieki naszej radości, spełnienia, zadowolenia, zwykłego szczęścia płynącego z pracy, którą kochaliśmy. Nam ta praca dawała tyle dobrego, że nawet słodocyzy wiele nie potrzebowaliśmy. Najlepiej nam smakowała zwykła, polska drożdżowa, ze śliwkami lub jabłkami. Jak nie drożdżowa, to ciasto kręcone, biszkoptowe z owocami, a do tego popołudniowa herbatka... Miłość do drożdżowego ciasta przekazaliśmy w genach naszym dzieciom. I tak zjadaliśmy sobie tę drożdżówkę, tak kręcilibyśmy te makowce i serniki, gdyby nie to, że pewnego dnia nasze słodkie życie przestało być słodkie.

- Na płuca ciężko chorował już ojciec - wyznaje Irena. - Papierosy, przechodziona grypa, choroba oskrzeli i płuc. Można powiedzieć, że po nim odziedziczyłam przewlekłą obstrukcyjną chorobę płuc, rozedmę. Duża niewydolność. Wszystko zaczęło się 15 lat temu. Już wtedy pracowałam w cukiernictwie, zlecając plus codziennie pyły i mąka. Dużo w tym wszystkim mojej winy, bo byłam wiecznie zapracowana, zagoniona, nigdy nie miałam czasu na chorowanie, nie mówiąc o leczeniu. Wydawało mi się, że ponieważ cały zakład jest na mojej głowie, jestem niezastąpiona. Moi pracownicy brali urlopy, chodzili na zwolnienia, no ktoś musiał ich zastąpić,



ktos musiał wszystkiego dopilnować, wszystkim się zająć. Pierwsze objawy? Ciężkie oddychanie. Trudności z wejściem po schodach. Każdy najmniejszy wysiłek to już był problem.

- Leczone mnie sterydami - wspomina Irena. - Sterydy zniszczyły mi kości, osłabiły niektóre narządy. Ale o tym dowiedziałam się za późno. Szkoda, że żaden z lekarzy nie miał czasu mi tego wszystkiego wytłumaczyć, szkoda, że w tej ciągłej bieganiu żaden z nich nie miał chwili na rozmowę ze mną. Ani sekundy, żeby wyjaśnić, jak prawidłowo przyjmować leki. Ta niewiedza przyczyniła się do pogłębienia choroby. I wtedy załamalam się i ja, i cała moja rodzina.

## Płuca w maszynie

Ale prawdziwy dramat miał się dopiero wydarzyć. Zły los jakby się wziął na Irenę. Niedługo po kuracji szpitalnej ma wypadek samochodowy, z którego wychodzi ze złamanymi kręganiami piersiowymi. Od tego momentu Irena nie może już zrobić ni kroku. Kłopoty z oddychaniem sięgnęły szczytu. Ból w piersiach nawet przy najmniejszym kroku. Któregoś dnia córka namawia Irenę na wizytę u prof. Koziełły. - Po prostu Bóg mi go zesłał - tłumaczy. - Bez słowa skierował mnie do kliniki do Zabrze. Zaopiekował się mną i można powiedzieć, podarował drugie życie. Klinikę Irena opuszcza już z koncentratorem tlenowym, specjalną machiną, która od tego dnia pomaga, a właściwie umożliwia jej oddychanie. To jakby drugie, ważące kilkadziesiąt kilo, płuca. Będą jej towarzyszyć do końca życia. Mimo koncentratora organizm jest osłabiony. Irena przeklina to gorzkie

życie, które musi spędzić uwiązana do ciężkiej maszyny. Ona, energiczna kobieta, której niegdyś wszędzie pełno, siedzi w miejscu, dusząc się z bezsilności i fatalnego samopoczucia. Zmęczona jest tym stanem i ona, i jej rodzina. To wtedy wnuk zapytał ją o to Niebo. Bo Irena, zwyczajnie, była wrażliwym człowiekiem.

Skoro medycyna była bezradna, bliscy zaczęli szukać rady w medycynie niekonwencjonalnej. Ziola, stawianie baniek, obkładanie gorczycą. Te wszystkie zabiegi nawet czasem pomagały. Przez pół roku czuła się lepiej, a potem wszystko wracało.

- Problem polegał na tym, że przez osiem lat leczono mnie na astmę, a to była rozedma płuc - rozpaczła Irena. - Działania uboczne złego leczenia były nie do naprawienia. Pewnego dnia lekarz powiedział: „Ma pani żyły jak 85-letnia babcia”. Ja nie miałam nawet sześćdziesiątki, a czułam się jakbym miała sto. Nie mogłam wykonać najmniejszej czynności. Bo każda taka najmniejsza czynność sprawiała mi ból. Brakowało mi powietrza. Organizm miał tak niską odporność, że łapałam każdą infekcję, każde przeziębienie. Dlatego wciąż leżałam w łóżku. Bliscy pytali mnie: „A jak ty się mamie czujesz?” A ja nawet odpowiedzieć nie mogłam, bo zaraz się dusiłam, wypowiadając choćby najkrótsze słowo. Aż któregoś dnia znów zapytali mnie: „Mamo, a jak ty się czujesz?” A ja odpowiedziałam - „A wspaniale!”

## Irena do życia!

- Przyszedł lekarz i pyta: „A od mojej ostatniej wizyty, ile razy była pani w szpitalu?” „Ani razu, panie doktorze.” „Ani

